Ner 22.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 21 października 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 7 października 1843.

Stroje damskie. Przez ostatnie pare tygodni panowała tu pogoda tak piękna, iż niezawodnie powróciłyby były do nas stroje zupełnie letnie, gdyby nie ta uwaga że w skutek zmiany, która w dwudziestu czterych godzinach zajść mogła, trzeba będzie pożegnać się tak z słońcem letniem, jakoteż z krepowemi kapotkami i gazowemi sukniami aż do następnego roku. Modystki więc tutejsze, nauczone doświadczeniem niedały się zwieść tak łatwo i przygotowały mnóstwo jesiennych kapotek z atłasu, osłonionych angielskiemi korunkami i ozdobionych piórem w stosownych odcieniach, obok kapeluszów korunkowych i krepowych dla których potrzeba nieba tak przezroczystego i tak łagodnej pory jakiej tu dziś jeszcze użuwamy. Bez wątpienia kapelusze i kapotki, panujące tej chwili są: kapelusz z krepy zielonej ozdobiony pękiem piór; kapelusz z żółtej krepy ozdobiony dwoma piórami wijącemi się w jednym kierunku w około główki itd. Tymczasem pani **Baudry** czeka tylko pierwszego przymrozku aby się popisać z bardzo gustownemi kapelusikami axamitnemi, ozdobionemi piórem czapli, rajskiego ptaka lub kitką.

Trzeba też wiedzić naszym czytelniczkom, że tak kwiaty jako i pióra używane do ozdób nie kładą się już więcej pękami jak dawniej; użycie ich jest daleko prostsze i gustowniejsze. Kwiaty używają się w sposobie girlandy do kapeluszów i czypeczków z blondyn, korunek itp.; tożsamo wszystkie strojniejsze suknie widzimy w tenże sposób ozdobione girlandami, bardzo blisko jedna przy drugiej, z kwiatów tak świeżych, iż się zdają dopiero uszczknione. Równie i pióra kładą się w około skrzydeł kapelusza i upinają tak aby były bezpieczne od wiatrów. Sposób ten wystroju ma wiele wdzięku, i zdaje się że długo nie wyjdzie z mody.

Ze strojów które pani *Thiery* przygotowała na tak zwane pierwsze wieczory spomniemy tu tylko suknie z popielatoperłowego pekinu, z rękawami długiemi *à la juive*, tudzież redyngoty z *pou-de-soi* mieniącego koloru, z przodu otwarte, z haftami po obu stronach; stanik obcisły niski z wyłożonemi klapami i kończaty u dołu, zaokrąglony u ramion, a z tyłu peleryną osłoniony; rękawy jedne bardzo krótkie haftowane, a drugie długie muszlinowe również z haftami. Pod spodem suknia z batystu szkockiego ozdobiona drobnemi fałdzikami przez całą długość.

Jedną z bardzo użytecznych nowości jakie się pojawiły u tutejszych modystek, jest rańtuch tak zwany *lochleven*; jestto rodzaj płaszczyka z szkockiego tartanu (materii wełnianej w różnokolorowe kraty) w szczególnym gatunku i szerokości niewidzianej dotąd: mogący zakryć ramiona, popiersie i ręce, bardzo wygodny na zbliżającą się zimę. Jeżeli ten rodzaj płaszcza czy też rańtucha przyjęty zostanie, tedy liczba mantyl nowomodnych, któremi się niektóre domy zatrudniają, zostanie bardzo ograniczona.

Rycina przedstawia: suknię z *gros-d'afrique,* spodnica z przodu w bufki ubrana, stanik półwysoki, gładki, z kołnierzykiem, z pod którego daje się widzieć półkoszulek, rękawy otwarte, kapelusz jedwabny kwiatami ubrany. Druga figura przedstawia suknię fularową: spodnica trzema ukosami ozdobiona, stanik wysoki, w przodzie drapowany, kapelusz jedwabny, piórami ozdobiony. Trzecia figura przedstawia suknię z peplinu wschodniego, stanik również wysoki, sznurem ozdobiony, rękawy w bufki; kapelusz wstążkami ubrany.

Stroje męskie. Możemy zapewnić że zmiany w strojach męskich tego roku nie będą znaczne.

W ogólności zaś przyda się czytelnikom naszym ta uwaga, że każda moda objawia się właściwie przy końcu pory, i służy dla pory następnej. Co do strojów jakie widzimy tej chwili, panuje pewne zamieszanie. Możnaby naliczyć pietnaście oddzielnych strojów jakie tu w jednymże czasie noszą. Niektóre tylko z nich tu wymienimy, mianowicie te które są więcej używane.

Trzy rodzaje jest fraków: frak najwięcej elegancki powinien mieć poły z przodu nieco wycięte, patków nie mieć żadnych, a kołnierz i klapy szeroko wykładane.

Po nim idzie tak zwany frak *à la française*, z szerokiemi połami, z patkami dość szerokiemi, z wielkiemi klapami i szerokim kołnierzem. Nareszcie prosty frak do polowania, zapinający się aż po szyję.

Surduty i tużurki są rozmaite, a zmiany w nich są znaczne. Najużywańsze można widzieć na naszych rycinach.

Twiny są albo o jednym albo o dwoch rzędach guzików; to co je główniej charakteryzuje jest: że tak stan jakoteż i klapy są w nich jednostajne.

Rycina przedstawia: surdut wierzchni watowany, pod nim tużurek o jednem rzędzie guzików. Druga figura przedstawia tył tegoż samego surduta.

PRZEZ ULICĘ.

Dokończenie.

5.

Dylemma to zdawał się tymczasem los sam rozstrzygać w niebytności O**, albowiem pan Józef zgrywał się ciągle; jegoto ręki niecierpliwe uderzenie usłyszał O** u M*. Graf S* siedział ciągle nieruchomy; szczęście nie zdawało się robić na nim wrażenia; przeciwnie na twarzy pana Józefa nieustannym ruchem zmieniały się wszystkie widoczne namiętności jakie wrzały w nim w czasie gry: to błedniał, to czerwieniał. O** pożyczył nowych pieniędzy raz i drugi, lecz i te szczęście nieubłagane przeniosło do grafa S*; przyszła nareszcie chwila w której straszna rzeczywistość stanęła przed oczy pana Józefa, nie rzeczywistość wielkiej przegranej; o tej nie myślał w tej chwili; ale niemożności wygrania, bo O** czy nie miał, czy niechciał dać więcej i rzekł mu z cicha. »Nie należę już do współki; dosyć już przegrałem z własnego głupstwa.

— Nową pulę stawiamy!... szyderczo zagadł graf S*.

— Niemam pieniędzy przy sobie! drżącym głosem odrzucił pan Józef.

— Nic to nie szkodzi! gramy na kredkę!... może się pan odegrasz!... wygrać tak mało nie warto! lepiej przegrać!...

Była chwila w której resztki szlachetności pana Józefa poruszyły się, i wystąpiły na twarz jego rumieńcem, który go odmłodził o lat dziesięć... grać na kredkę: to uczciwość stawiać na los karty, to oszukaństwo, niemając czem przegrannj zapłacić!... Ale to mnóstwo złota i banknotów które skupione widział przed grafem, wywierały na nim czarodziejskie wrażenie; jakby naumyślnie szydzący Rossianin przerzuca dukatami; dźwięk złota stał się głosem syreny.

— Przegrasz! szeptał mu złośliwie O**.

— Co panu do tego!...

— Czem zapłacisz?...

— Ma to być przymówka?...

— Rada mój przyjacielu!...

— Rada! rada! zazgrzytał pan Józef; dla tego właśnie grać będę. I wszczęła się gra na nowo. Odszedł O**, a z ukosa spojrzawszy ku oknom, wyraz podłej radości zaczerwienił mu twarz zjadliwym grzybem: zbliżył się do drugiej gry; tam oczywiście szczęście przykute gwałtem sprzyjało przeciwnikom hrabiego M*, który na cygarach, lulkach, winie ciągle podawanem i własnem czole, niemiłosiernie tłuczonem szeroką pięścią, odgrywał się jak mógł. Okiem znawcy rzucił O** po rozrzuconych koło graczów pieniądzach, a hrabiego od niechcenia zapytał: »Hrabia znowu w nieszczęściu?«...

— Głupi! głupi jestem! zapiszczał, że gram; już tysiąc ryńskich przegrałem gotówką, a pięćset na kredkę.

— Wątpię by tak wiele odrzekł Ż*, który ciągle składał i przekładał banknoty przed sobą....

— Porachuj pan to coś schował do kieszeni!...

— Ja? ja nigdy nie chowam!... wyjąknął zaczepiony.

— Pan hrabia zawsze porządnie rachunek gry utrzymuje, łagodzącym głosem przerwał O**.

— Od dwoch godzin żadnego nie mam przejścia; wszystkie plije sprzyjają panu Ż*... to przeklęta gra!...

— Ja też ją nigdy nie gram. Postawszy chwilę przy tym stoliku zwrócił się O** bez myśli ku drugiemu stolikowi; patrzy, natęża oczy! wierzyć oczom nie chce!... Jakby czarem jakim przenoszą się pieniądze wszystkie do pana D*. Stanął na progu, spogląda bliżej, to nie żarty: pan Józef wpadł w szalone szczęście. Ukąsił się O** w usta i zbliżył do szczęśliwego gracza; graf spojrzał nań szyderczym wzro-

kiem. »Widzi pan! szczęście się zmieniło, nie trzeba było od spółki odstępować!...«

— Czy jesteśmy dalej w spółce? zaszeptał O**.

— Niechciałeś pan; teraz gram za siebie.

— To pięknie! szczególnie pięknie.

— Racz pan nie przeszkadzać nam, zagadł graf; ja lubię cichość!... Skoczył O**; rad był odpowiedzieć, ale, by prawdę wyznać, mimo tytułu wojskowego, podstarzały O** tchurzem podszyty. Wrzawa w drugim pokoju. »Nie gram! nie gram! piszczał hrabia; dwa tysiące ryńskich to nadto, i same plije, to obrzydliwie!... Powstali gracze; wniesiono poncz; wziął się do niego hrabia pałający zemstą; wzięli się i drudzy.

— I cóż? zgrał się grubas?...

— Wygrywa teraz ciągle, i nie chce więcej spółki!...

— Patrz! patrz! nową kupę banknotów pociągnął...

— Trzeba przerwać grę koniecznie!...

— Złoto jak szalone, sypie się do niego...

— Zapoić go!... nie wiele też mu brakuje... a potym.... potym!... popatrzyli po sobie wzrokiem prawdy.... Okropna, obrzydliwa ta ich prawda!... Zaniesiono poncz do nich!...

— Ha! czaj!... zaśmiał się graf S*; lubię czaj! pij pan na wiwat szczęściu swemu! Jakoż piją wszyscy, jedni z rospaczy, drudzy ze smaku, panowie koledzy z radości, która się im wyszczerza z dobrze porumienionych twarzy. Niknie szklanka po szklance; trunek dodaje zapału wzburzonym namiętnościom, jeden graf S* ciągle nieruchomy zdaje się bledniéć jeszcze; gdy tymczasem pan Józef nabiera coraz ciemniejszych barw na twarzy: szczęście służy mu bez ustanku.

— On go zgra!... a nam!...

— To niegodziwie! co tu robić?...

— To łotr! nam to, nam się należało!...

— Wydarł nam z gardła!... Pan Józef za każdem szczęśliwem pociągnieniem traci rys po rysie, wszystkie zarysy szlachetne które go odróżniały od reszty towarzystwa; zbrzydł, zpodlał w tem szalonem szczęściu; łakomą ręką przysuwa złoto, składa piramidy dukatów, warstwy banknotów składa; ale mu jeszcze nie dosyć, gwałtem chciałby przyciągnąć pieniądze których przeciwnik dobywa bez końca....

— Więc bez współki! szepta mu O**.... to jest postępek niegodziwy. Nic nie odpowiada; bo czucie honoru w nim zamilkło; czucie do złota zagłusza wszelkie inne.

— Pan nieszczęśliwy! szepnął baron do grafa! lepiej przestać, lub gracza odmienić!....

— Bez uwag i rad! bardzo proszę; ja lubię przegrywać!... i zaśmiał się po swojemu.

— Albo hrabia daruje że prawdę powiem: dużo się piło, azatym nie wiele zwraca się uwagi na grę.... szepnął pan Jan Z*.

— Powiem panu nasze ruskie przysłowie: *»Pijanica prespit sia; durak nikagda!...«*

— Jednakże radziłbym hrabiemu uważać na grę przeciwnika, dodał swoje pan P*; nienaturalne jest jego szczęście.

— Odwrócił się graf S* do brzęczących mu jak muchy nad uchem, zmierzył ich wzrokiem szyderczym i wzgardliwym, zaśmiał się potężnie i rzekł. Moi panowie!... z tym tylko może panem grać mogę zupełnie bespiecznie.... znam i rozumiem grę, a gram nie od dzisiaj.... Niech panowie idą do swego gracza. Wściekają się koledzy, ledwie nie pękną ze złości; szczęśliwego gracza chcieliby w łyżce wody utopić; odstąpili się wprawdzie, ale nieruchomi, o kilka kroków oddaliwszy się, patrzą na ten stolik.

— Pan Józef D* słyszał może i rozumiał wszystko, ale co jemu świat cały; tu sunie się do niego ślepego szczęścia dłonią sypane złoto, a z nim świat tylekroć wymarzony, świat pełnego użycia, dotąd zamknięty dla niego, a ciekawy i czarujący jak zasłoniony posąg w Sais!... Za każdą kupą złota śmie je się doń nowe, urocze marzenie. I rzecz dziwna graf S* jakkolwiek zimny i nieruchomy zda się rozumieć co się dzieje w duszy jego przeciwnika.

— Przegrałem!... pierwsza aktorka z opery byłaby za tę jednę stawkę.... pierwsza tanecznica za tę pakę banknotów.... nieprawdaż panie?....

— Pan Józef omamiony szczęściem, rozgrzany winem, rozpalony namiętnościami siłą lepszej chęci dotąd usypianemi, bez myśli rzuca karty, które ciągle na jego padają stronę.... chciwości okiem gra tylko, a duszę zamarzył..... podróż która dawno mu się uśmiechała urokiem scen najrozmaitszych; ta kupa imperiałów: to Paryż z całem życiem wykwintnem, życiem opery, kulis, spiewów włoskich, bajaderek lekkonogich, i lekkostrojnych, rozmów, xiążek; wszystkie powieści z swemi barwami najkapryśniejszemi tancują mu w migotnym złota blasku, jak elfy przy xiężyca świetle!... Ta plija! to góry szwajcarskie z dzwonkiem trzód pasących się, spiewem goralskim, i echem skał siwogłowych!.... Banko! wygrał; to niebo włoskie! słońce południa! posągi i obrazy, arcydzieła sztuki! Wezuwiusz i bezgranicze morza zwierciadło, arcydzieła natury!...

I gracze równie omamieni pomilkli; widok szczęścia jakiego niewidzieli dotąd zagłuszył nawet kipią-

cą w nich zazdrość; siebie samych zapomnieli oczarowani widokiem tego złota, za którem gonić, ich rzemiosłem całem, a którego na ich zielonostolikowym świecie nigdy tyle niewidzieli; to dla nich widok cudowniejszy nad wszystkie widoki natury i sztuki!... Nawet hrabia M*, który dotąd ponczem wciągał zapomnienie przegranej, a kłębami dymu wypuszczać się zdawał jej pamięć, stanął w rzędzie drugich; zadziwionym od trunku, zgłupiałym wzrokiem patrzą na tych dwoch graczów, których zarysy w coraz fantastyczniejszych okazują im się przemianach. Jakoż w rzeczy samej coraz ciekawszy widok tych dwoch twarzy tyle różnych od siebie; za każdą wygraną pan Józef D* wydaje się czerwieńszy; pan graf bledszy! Za prawdę zdaje się że grubieje jeden od szczęścia, gdy drugi chudnie od nieszczęścia; chwytając złoto i papiery, pan Józef już granatowy na twarzy zdaje się ciągnąć w siebie to prawdziwe dzisiejsze życie — życie złota!... a graf S* niknie prawie jakby mu ubywało cząstek życia za każdem dobyciem nowych pieniędzy, których tyle już na stole, iż ledwie oczom swoim chcą wierzyć nieodstępni widzowie. Życie don-Juana wymarzone i spodziewane drga na twarzy i w całej postawie pana Józefa; w grafa zaś postawie całej nieruchomość posągu komandora!... I całą tę scenę ubiera dym lulek i cygarów w fantastyczne półświatła pół cienia, a otacza milczenie prawie grobowe!...

I grają przecie dalej; bo gra jest pragnienie nienasycone; złoto trunek niegaszący pragnienia!... pan Józef ledwie wydoła pochować wygranę; graf ledwie wystarczy dobywać ciągle nową przegranę; a prócz tego rosną na stole, stosy złota, góry banknotów, wznoszą się i piętrzą z szybkością cudu; już prawie miejsca na karty brakuje!... »Sen li to czy mara?...« myślą widzowie, a z coaraz większem uszanowaniem patrzą na ten skarb, jakby z tysiąca nocy wyczarowany.

I brakło miejsca na stole; runęła góra złota, i dukat po dukacie, imperiale, leje się ze stoła rzeka złota, toczy się skłniącemi falami, pieni się banknotami, które złożone na wierzchu, towarzyszą szeleszczącym głosem dźwiękowi złota. Patrzą na te zjawisko odurzeni widocznie; oczami jak łyskawicami ścigają ten potok, który pomału, poważnie, czarująco, dźwięcznie postępuje ku nim!... Już pod ich nogami!.... kroplą dukata dotknął się nogi barona; pianę banknota rzucił na stopę O**.... Zadrzeli oba dotknięci ruchem iskry elektrycznej; krew zawrzała szalonym wirem, i bije w oczy które ledwie nie wyskoczą, w palce które mimowolnie krzywią się i wytężają gadzin ruchem. Jeszcze stoją nieruchomi, choć ich ciągnie ku ziemi — głowa zapewne pijana!... Lecz coraz grubszemi bałwanami pędzi złoty potok od stolika; coraz czystsze, coraz większe uderzają w ich stopy krople!...

To już nadto! to nad siły człowiecze, nad siły światowego poloru, który niknie przed wezbraną naturą!... pierwszy baron uległ jako najmłodszy, azatym najżywszy; i padł na posadzkę jak długi!... Na ten widok jeden po drugim rzucili się wszyscy na ziemię; ostatni po długiej walce z lepszem usposobieniem, mniejszemi złota potrzebami i z zawielkim do tej expedycii brzuchem rzucił się hrabia!... I nuż nurzać ręce w złoty potok!... kto prędzej!... kto więcej!... na tem sztuka!... Potok się leje, pieni, ale i ręce nie próżnują; czerpią nadludzkiem natężeniem, ile tylko w dłonie pomieścić zdołają!... A gdy potoku braknąć zaczęło, zdziczeli chucią złota, pijani, zapamiętali zaczeli zaglądać jeden drugiemu w przepełnione garście; jednemu drugiego garść wydaje się większa — nuż wydzierać!...

Zaczęła się scena okropna i śmieszna razem.... Na posadzce woskowanej bójka salonowców o złoto; jakby tych z grubiaństwa wyśmianych chłopów w karczmie!... Na nic wychowanie, stosumki przyjacielskie, uwaga na świat, nawet na przyzwoitość!... Złota! złota więcej!... oddaj, bo wydrę!... I wydzierają sobie! taka walka jest okropna!... A śmieszną stronę tej bójki ktož nie pojmie, gdy sobie wyobrazi, włosy, kawałki sukień, rękawiczki woniejące, łańcuszki, pierścienie, padające trupem na pobojowisku; a nad tem wszystkiem peruka O** arcydzieło weneckiego włosomistrza, rozczochrana okropnie jak głowa Nemezys! godło tej wojny godne!...

Rzucamy zasłonę na tę scenę!... I nastało milczenie głuche! okropne! nieprzerwane ani głosem człowieka, ani dźwiękiem złota, ani szelestem kart i papierów bankowych!... milczenie długie! kilkogodzinne!...

6.

Pierwszy brzask dnia przebijał się dalekiem łunem przez ponsowe firanki, walczył z blaskiem dogorywających świec, które długiemi knotami sterczące więcej dawały cienia niżeli światła. Łysnęło coś wzdłuż posadzki; to O** się podniósł z ziemi pozbawiony peruki; głowa bezwłosa, pościerane smugami po twarzy, rozbiegłe malowidła, wypadłe zębów rzędy, zmarszczki występujące zza malowidła, a nadewszystko wyraz przepicia, i uczuć gwałtownych z któ-

remi zasnął, okazały go po raz pierwszy może w całej prawdzie starości zgrzybiałej i podłego usposobienia. A gdy pamięć pomału powróciła, ciekawem i chciwem rzucił okiem na stolik zielony — pusty! cyframi kredą pisanemi zamazany! Niema grafa! niema złota!... znikło jak senne widziadło! pan Józef D* z głową zwieszoną rozwalony leży na fotelu przy stoliku; cichym złodzieja lub kochanka krokiem zbliżył się O**, wyciągnął szyję, patrzy: znikła czerwoność z twarzy pana Józefa; blady bladością niemą i zimną; drząc bierze go za rękę, zimna! porusza go zlekka, nieruchomy jak posąg, skamieniały, umarły!.. Zadrzał stary grzesznik!... ku oknu spojrzał!... ale wnet oglądnąwszy się na leżących kolegów, wpuścił ukradkiem długie swe palce w kieszenie nieboszczyka; snać szuka wygranej od grafa; jeszcze mu spółka w głowie!... Kieszenie jedna po drugiej okazały się puste; potrącił ciałem; padło na ziemię!... własne przeszukał kieszenie z ruchem niespokojnym i niecierpliwym — puste!... Na ziemi, na miejscu wczorajszej walki — pusto!... karty pomięte leżą tu i owdzie na posadzce, drugie podarte wciśnięte w pokurczone śpiących pięście; u drugich kawałki cygarów, fidibusy!... a złoto! złoto!... pusto i próżno!...

— Klasnął w dłonie z rospaczy! »Gdzie pieniądze tego niedźwiedzia? gdzie jego ogromna wygrana?... Umarł!... klasnął w dłonie z radości!... »M* moja!...«

— Zbudziło się zacne towarzystwo. »Coto było?... Sen, długi sen!...«

— Mnie się śniło żem wygrał sto tysięcy!...

— A mnie skarb! ogromny skarb!... ale szatan nad nim, podobniuteńki do tego S*!...

— Pfe! pfe! upoiłeś nas O**! to nieładnie!... zgrałem się! i głowa mię boli!...

— To wino z nowego sklepu korzennego może ipsymowane!...

— Ależ ten grubas spi! kontent że wygrał, leży jak nieżywy!...

— Bo nieżywy!...

— Co mówisz O**?...

— Patrzcie sami! umarł!...

— Umarł?... tam do diabła!... Chwilą krótką pomieszania uczcili pamięć zmarłego!...

A pieniądze wygrane?... I wszyscy spojrzeli nagle na kolegę O*, a baron z gorzkim uśmiechem rzekł: »Kto rano wstaje, temu pan bóg daje!...«

— Słowo honoru!... musiał się zgrać potym!... ja niemam!...

— Pfe to głupstwo!... cóż to? apoplexia!... to fatalnie!... jeszcze jakaś komissia będzie! świadectwo!... bodajże cię O** z twoim obiadem, winem, tym głupim diabełkiem i apoplexią!... Taki zdrów! proszę kogo!...

— Krótka szyja zwyczajnie!... szyderczo zagadł Ż* do hrabiego.

— Moja dłuższa! zapiszczał, i wyciągał biedak krótką szyję jak mógł....

W kilka chwil niesiono trupa przez ulicę. W oknie otwartem siedziała M*; wzrok jej bezsennością i oczekiwaniem zmęczony dostrzegł zarazem ciało męża i młodzieńca w paletocie, na którego młodej, szczerej, otwartej, a dorodnej twarzy czyste współczucie w czystej sklniło się łzie!... Krzyk przeraźliwy doszedł do uszów O** siedzącego przy tualecie.. »Moja! M* moja! mruknął, ale też mnie kosztuje!... ten S* i jego pieniądze nie mogą mi wyjść z głowy.... Ubierajże mnie prędzej!... niemam czasu!...

Dodnia graf S* wyjechał do Londynu czy do Paryża.... i przepadł bez wieści!... M*ę O** przed pogrzebem męża nie odwidził, czekał bowiem na wezwanie tej biednej, opuszczonej, w nieznajomym mieście kobiety; czekał sądząc po sobie, aż mu sama w ręce w padnie, jak mucha w dawnorozstawione sidła obrzydliwegu pająka; a po pogrzebie M* wyjechała! gdzie? nie wiadomo.... i przepadła bez wieści!...

We dni kilka siedział O** samotny, i smutno, chociaż i peruka odnowiona i strój odświeżony, spoglądał przez ulicę ku oknu przeciwległego domu — pusto w nim? nie koniecznie!... Same stare kobiece twarze jak na złość wyszczerzają mu się z tamtąd.... Zamarzył pan O**; po raz pierwszy od dawna pomyślał szczerze nad sobą.... Długi wszędzie; poszły miednica, kubek, i cybuchy i tabakiery!... trudno ostać na posadzie dotychczasowej, a wygrana coraz cięższa, bo świat codzień mądrzejszy.... Graf S* czmychnął jak majak jaki; z grubym D* poszły pieniądze do diabła.... a M*, ta piękna M*, coto miała umrzeć po mężu?... a kto wie może i umarła? lecz gdzie i jak?... Pojechałby O** na zwiady, ale ta przeklęta podagra, niepomna na to że serce nie starzeje, usadowiła mu się w nogę, a do tego codzienny budżet wymaga codziennej jego bytności!... Biedny O** pomyślał sobie: inaczej to szło za młodu!...

We dwa lata!... O** zawsze młody zwierzchu, płynie jak może z wodą i przeciw wodzie, niezmordowany i niezbadany; siedzi znowu ze wzrokiem wlepionym w owe okno, którem tyle obojętnych i tyle brzydkich odtąd wyglądało twarzy, gdy nagle Abramko zamiast gorącooczekiwanych pieniędzy wniósł list....

— »Jakieś państwo!... grafowie!... pojechali do Karlsbadu, i zostawili list do jaśnie pana. »O** otworzył... kilka banknotów wyleciało.... czyta.... »Dług winny z ściśle wyrachowanym procentem odsyłam z wdzięcznością jaka się należy za jego dla mnie chęci, o których objaśnił mnie należycie kuzyn pańskiego przyjaciela, rozwiązły młodzieniec w ciemnym paletocie — mąż M*!...«. Długo myślał!... »Dobrze i to!« wyrzekł w końcu, starszy i zimniejszy o dwa lata O** chowając banknoty....

Więc nie umarła po pierwszym mężu?.... dla czego?... jak?... którędy?... Niewiem, bo niezbadane bywają czasem tajemnice w życiu ludzkiem....

Józef Bolesta Dzierzkowski.

Zaklęcie z Bajrona

w Szwajcarii 1817.

Gdy zegar czasu północ wskazuje,
A cień osłania uspione twory,
Puszczyk żałobną pieśń wykrzykuje,
A nad grobami błyszczą upiory;
Gdy xiężyc tonie w obłoku fali,
A jasne muszki w trawie migają,
Nad bagnem błędny ognik *) się pali,
Gwiazdy jak strzały z nieba spadają;
A liść milczący w pagórków cieniu
Chyli się, skłania w cichem uspieniu,
W ten czas ma dusza nad twoją ciąży,
Potęgą woli, myśl twą ciemięży.

Próżno sen zejdzie na twe posłanie,
Duch twój na wieczne wskazan czuwanie;
Tam cień co nigdy nie znika gdy padnie,
Tam myśli których nie odpędzisz snadnie;
Nieznana tobie, lecz potężna władza
Do samotności wiecznie ci przeszkadza
I pierś twą chłodnym całunem przytłacza,
I serce chmurą wspomnienia zamracza;
A w tem zaklętem, niewidzialnem kole
Wskazany jesteś na wieczną niewolę.

Choć mej postaci nie ujrzysz przy sobie,
Lecz mą obecność uczuje twe oko;
Zawsze i wszędzie musi być przy tobie,
Bo na tle duszy wyryta głęboko.
I gdy wzrok błędny w śmiertelnej obawie,
Zwrócisz za siebie w jedno miejsce wryty,
Dziwić się będziesz że ja się nie jawię,
Jak cień twój własny w tem miejscu odbity.
A tę moc straszną, co twej duszy katem,
Duma ci każe ukrywać przed światem.

Jest głos tajemny i złowrogie słowo,
Które przekleństwem cięży nad twą głową;
Jest duch co w cichem powietrzu wzlatuje,
Który cię więzy tajnemi krępuje;
W wietrze co kwiatkom dźwięczne piosnki spiewa,
Jest głos co wszelką radość ci rozwiewa.
Napróżno w cichem i pogodnem niebie
Wieczór przejrzystą roztoczy zasłonę,
Noc swą spokojność utraci dla ciebie
I dzień mieć będzie słońce naprzykrzone.

Gorycz mej pieśni rzecz tobie nie nowa;
Z własnej twej duszy pożyczam te słowa,
Z własnych łez twoich fałszywego zdroju
Wyciskam krople zgubnego napoju.
Krwi czarnej strumień, z jej najczarniejszego
Wytaczam źródła: z pod serca twojego.

Z twego uśmiechu ja wyrwałem węża
Który swą zdobycz znienacka obwija;
Z ust twych zdradziecki urok, co zwycięża
I jak najsroższa trucizna zabija.
Przez pierś twą zimną i uśmiech gadziny,
Twej przewrotności przepaść niezgłębioną;
Przez twe spojrzenia na pozór bez winy,
Twą duszę, wieczną obłudą zamkniouą!
Przez tę szatańskiej sztuki doskonałość
Co ludzki pozór nadaje twej duszy,
I przez tę zimną serca skamieniałość
Co rozkosz czuje w bliźniego katuszy,
Patrzając rado na ofiar swych bole,
I przez Kaima znamię na twem czole,
Duch mój cię zwidza i potęgą zmusza
By własnem piekłem była ci twa dusza!

Na twoją głowę ciskam płyn zaklęty,
On ci obwieszcza wyrok niecofnięty:
Odtąd twe noce — bezsenne czuwanie;
Odtąd twe życie — bez śmierci konanie!
Bo chociaż stokroć u twojego boku
Stanie śmierć cicha, i trwodze w twem oku
Urągać będzie mierząc w serce groty:
To tylko postrach szatańskiej pustoty.
Oto już działa mych zaklęć potęga:
Już cię krępują bez brzęku kajdany,
Umysł twój, serce, słowo moje sięga —
Teraz usychaj! wyrok dokonany. **)

---

*) W oryginale jest *wisp on the morass*. Pewien Włoch tłumacząc Manfreda, za życia jeszcze Bajrona, przełożył to miejsce wiązka słomy pali się na bagnie, co według dykcionarza może być słowne. Dowiedziawszy się o tem Bajron pisał do swojego przyjaciela bawiącego w Włoszech. „Mój drogi! wynalesz mi tego poetę co mi psuje Manfreda, i ofiaruj mu odemnie 100 czerwonych złotych lub więcej, byle ci oddał rękopism swego tłumaczenia itd.“ Rękopism został wykupiony i spalony.

p. w.

**) Dla próby tylko i przez pewien rodzaj uporu przełoży-

Korespondencia.

W dzienniku mód z dnia 29 lipca, w artykule: kilka słów o wiedeńskiej wystawie obrazów, czytam napomknięcie o kostiumach ludu galicijskiego przez Zahradniczka i takowych naganę. Jestem w stanie sprostować te relacię i to uczynię.

Kostiumy ludu w Galicii, znajdujące się na tegorocznej wystawie w Wiedniu, w salonie litograficznych utworów, są rysunku **Rudolfa Alta.** Zahradniczek rysował je tylko na kamieniu, wyciskała chromo-litografia **Lejkama**, a należą do dzieła przez Müllera w Wiedniu pod tytułem *Pitoreske Oestreich* wydawanego. Byłyto wizerunki mieszczan, miasta Nowegotargu, Grybowa i Jasła, górali i karpackich pasterzy, tak zwanych **juhasów**, nareszcie parobków i dziewek z okolic Kalwarii i Jasła.

Rudolf Alt jeden z pierwszych akwarelistów wiedeńskich, artysta który, acz w młodym wieku, swoim talentem i pracowitośsią stanął już na równi obok pejsażystów **Endera, Steinfelda i Gauermana**, przed laty kilką przedsięwziął umyślną podróż do Galicii. Jako dobrze mi znajomy, do mnie po drodze wstąpił, i rad udzieliłem jemu wszelkiej pomocy jakiej potrzebował, pielgrzymując po kraju, którego mowa jest mu obcą. Jego rysunki okolic i ludu, któremi napełnił swoją tekę, oglądałem wszystkie i śmiało zapewnić mogę, iż jak pierwsze, nader wiernie i trafnie, ale i urocze przedstawiają miejsca nam znane, tak wkostiumach ludu zbieranych w naszym kraju, widziałem oddany nietylko ubiór miejscowy, ale co większa, pan Alt portretował twarze, postawę, minę obranego sobie wzoru, z największą prawdą i precyzią, czem naturalnie sprawia, że, czyto mieszczana Grybowskiego przedstawia, czy juhasa, już tu krajowość oddana nie tylko w ubiorze, ale owszem odcechowana wybitnie w całej postaci, a szczególnie w zarysach i wyrazie twarzy.

Oglądając te wizerunki ludu polskiego, wykonane przez Alta, nasunęło mi się to postrzeżenie, iż w mało krajach znajdziemy tyle odmian i rozmaitości w stroju, jaka się pojawia w ludności zamieszkującej nasze wioski i miasta; te przeniesione w trafny rysunek, przedstawiają nam nawet nader poetyczne obrazki, jakiemi są bezprzecznie wizerunki ludu galicijskiego wykonane przez Alta.

Te myśli nadsuwam, pragnąc przemówić do naszych artystów, ażeby na ten przedmiot, to jest kostiumy ludu galicijskiego, raczyli zwrócić swoję uwagę. Mniemam bowiem iż zajęcie się tym przedmiotem nie wiele pracy, ani natężenia wymaga, a tej pracy owoce miło byłyby przyjmowane od współziomków, zwłaszcza w chwili dzisiejszej, gdy w niejednym względzie objawia się coraz wyraźniej piękna chęć obeznania się dokładnie z tem, co nas bliżej dotyka.

A. Gorczyński. *)

Zapewne mało komu wiadomo, że wszystkie dzienniki i gazety polskie przesyłane pocztą do Anglii, do niedawna jeszcze opłacać się musiały według wagi listowej jaką miały, a to bez wyjątku. Dopiero dnia 27 marca r. b. wydał rząd angielski rozporządzenie pod liczbą 5899, mocą którego dozwolono jest aby za przesyłkę pism periodycznych polskich, jeżeliby takowe w przeciągu jednego tygodnia na pocztę oddawane były, przyjmowano opłatę od pobierającego, nie jak dawniej według wagi, ale tylko po dwa peny (dziesięć groszy polskich) od każdego numeru, co w porównaniu ceny dawniejszej jest wielką ulgą dla pobierających. To jednak dobrodziejstwo rozciągnione jest tylko do czterech pism które owe rozporządzenie wyraźnie wymienia, i takowe tu wyszczególniamy, mianowicie: 1) Orędownik naukowy; 2) Tygodnik petersburski; 3) Dziennik mód paryskich Tomasza Kulczyckiego i 4) Gazeta warszawska. Wszystkie tedy tu wymienione pisma można odtąd pojedyńczemi numerami posyłać pocztą do Anglii pod adresem: *The Literary Association Nro 10 Duke Street St. James London*, a to nie w kopercie ale pod bandą, i każda tych pism redakcia otrzyma należytość swoją za przesyłany tamże exemplarz. Mamy sobie za obowiązek zwrócić na to uwagę panów redaktorów.

Nowości literackie.

Dobromysł Łazowski wygotował do druku dziełko: **Pisownia polska**, w którem się obszernie zastanawia nad ważniejszemi szczegółami w tym przedmiocie i niejedną wątpliwość trafnie rozstrzyga. Za godło swej pracy położył następujące słowa Kwintyliana: „Uchowaj boże aby kto lekce sobie ważył tę początkową naukę języka, nie żeby to wielka rzecz była znać, a w głosie lub na pismie wydać głoski, kreski itd; ale że wszedłszy w głąb' tejto, iż tak powiem, świątnicy, pokaże się niezmierna moc głębokich wiadomości, które zdołają i dzieciom rozum zaostrzyć i najmędrszym literatom dać przedmiot do myślenia.“ Życzymy aby to dziełko znalazło prędko nakładnika i jak najrychlej upowszechnione być mogło.

Na dniu 12 października r. b. o godzinie 11tej z rana odbyło się posiedzenie w zakładzie naukowym Ossolińskich na którem przy licznie zgromadzonych słuchaczach odczytane zostały następujące artykuły.

łam to okropne zaklęcie z Bajrona; z tak czarnemi myślami nie zawsze sympatyzować można. Srodze zranione być musiało to serce, które takie dzikie dźwięki wydało. p. t.

*) Artykuł ten został spóźniony z powodów niezależnych od redakcii.

1) Zdanie sprawy z czynności zakładu za rok 1843 przez Adama Kłodzińskiego, dyrektora tego zakładu.

2) Żywot Józefa Dunina Borkowskiego skreślony przez A. B. a odczytany przez A. Kłodzińskiego.

3) Wiadomość o rękopismach biblioteki Ossolińskich przez Alexandra Batowskiego, członka wydziału stanowego.

4) Czy sztuki piękne są naśladowaniem natury? przez J. Szlachtowskiego kustosza biblioteki.

TEATR.

Dnia 13 października przedstawiono po raz pierwszy, tłumaczoną z francuskiego, komedię w pięciu aktach pod napisem Kean, czyli nierząd i geniusz. Jestto jedna ze złych sztuk Alexandra Dumasa, jakoż w ogólności komedie nie udają się temu autorowi i w dramatach lepiej mu się wiedzie. Z tytułu wnosić wypada iż autor przedsięwziął przedstawić nierząd i geniusz, tymczasem nie prawda: przedstawia on nam tylko miłostki aktora Keana z hrabiną Koefeld z Juliettą i Anną Damby. To jest treść całej sztuki. Prócz tego ściga jeszcze cele uboczne: wykrywa nikczemności wielkiego świata, wyszydza jego urojoną wyższość, niesprawiedliwość jego wyłącznych przywilejów, a jego małość i płaskość obok geniuszu. Dobreto jest wszystko same dla siebie, ale piękność zamiarów i prawdziwość dążności nie czynią jeszcze sztuki dobrą. Akt pierwszy na to jest tylko, aby nas ze stosunkami osób obznajomić co zawsze główną i nudną jest wadą, gdyż to obznajomienie stopniowo, razem z działaniem odbywaćby się powinno. Jest tedy akt pierwszy tylko lekarstwem na niezręczność autora; ale cóż winni widzowie? właściwe działanie zaczyna się dopiero w akcie drugim, ale ciągnie się leniwo i nie namiętnie, nie budzi obawy ani ciekawości, ani śmiechu ani boleści, ani wesołości ani smutku, ot jest sobie aby było. O drugim tedy i trzecim akcie powiedziećby można słowami chrystusowego mędrca: „ponieważeś ani zimny ani ciepły, przeto wypluję cię z ust moich.“ Czwarty akt dopiero przybiera barwę wyraźną i odróżniające znamiona, jest on farsą przypominającą widowisko któremu trudno dać nazwisko. Aktorowie rozchodzą się po łożach i ztamtąd się odzywają, tylko za mało, jakgdyby na zgryzotę publiczności. Kto ma cokolwiek lepszego smaku i jakiekolwiek wyobrażenie godności sztuki, pojmie że takie bawidełka ją każą i oznaczają komedię niskiego rzędu. Piąty akt nareszcie budzi ciekawość i zajęcie, ma nawet nieco prawdziwej, wyższej komiki, wypływającej ze z biegu i zawikłań działania, a mianowicie w tej scenie, kiedy Kean w jednym pokoju pomieszkania swojego utaja Annę Damby, w drugim hrabinę Koefeld, której mąż właśnie nadchodzi. Ale jest przecież cokolwiek za przykro dla jednego aktu albo scen kilku skazywać duszę na kilkogodzinną karę. Pomijam niestosowności niektórych położeń i oburzającą ich nieprawdziwość, bo może znaleźli się prawo- a bardziej jeszcze lekkowierni mówiący, aby niezbywać się uroku: tak być mogło; ale nie mogę pominąć niemoralności i zepsucia zobojętniałego na wszystkie obowiązki i zdania. Zdarza się częściej nawet jak niezdarza mężatce zakochać pokątnie, ale jak długo ma bodaj iskierkę moralnego uczucia odbywa zawsze, choćby upadła, bolesną walkę namiętności z powinnością, zapamiętania z rozwagą. Te chwile powinien każdy dramatyczny autor szczególniej chwytać, troskliwiej obrabiać i na wierzch wysadzić dla nauki i przykładu. Dumas tymczasem całkiem to pominął. Hrabina Koefeld odwidza Keana tajemnie, oddaje się spokojnie uciechom miłości, ma swój postępek za bardzo właściwy, przyzwoity i naturalny, wspomina nawet o mężu jakgdyby o najobojętniejszej osobie w tej sprawie, i nie miesza się ani niepokoi aż dopiero kiedy w drzwi kołacą, z obawy aby ją jak najprościejszego przestępcę na gorącym uczynku nie złapano. Nie zupełnie usprawiedliwia autora ta okoliczność iż hrabina Koefeld jest Włoszką; ale panie nasze może będą miały co dodać na jej obronę. W jednej ze scen drugiego aktu odradzając Kean, Annie Damby wstąpienie do teatru, maluje jej żywy obraz przykrości tego stanu, dotykając między innemi dosyć obszernie stronności krytyków, zawisłości ich sądu od bardzo lichych pobudek. Zdaje się iż szanowny autor nie mógł tą razą zapomnieć znakomitym krytykom francuskim (*Alfred Michiels, Villemin, Saint-Boeuf*) że go kudłali. Lecz środek którego przeciwko nim użył, niby w obronie geniuszu, jest już zwietrzały i znany zanadto. Jak pewną ucieczką grzeszników są posty i skrucha, tak znowu tego rodzaju lamenta na kabały i intrygi, na zawiść i zazdrość, złość i tak dalej, ucieczką złych autorów i aktorów. Wszystkoto być może, jednakże dla tego zła sztuka nie staje się dobrą sztuką, ani zła gra grą dobrą. Już się tak wszyscy wyuczyli tego pacierza, że gdybyś wyrzucał oczywistą niedorzeczność tych wierszy np:

Matryca do matrycy, z pieczęcią oznaki,
Idą lelum po lelum słowiańskie bliźniaki.
Kiedy forma wraz z treścią z treści swej wytryśnie
Tentno ogólne świstum poświstum wnet isnie.
Z czątku cznie się zaczątek, moję jamdro drzące
Jest dryadą przeczuciem zlepnie działające itd.

to ich autor gotów cię o zawiść literacką posądzić i z jej szponów wydzierać laury według słów wielkiego Herdera, a według małych słów moich: „nie ma tu czego zazdrościć. Prawdziwie!“

L. D-B.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.